

Przewodnik Katolicki

Redaktor:
X. Stanisław Ciążyński
w Poznaniu.
Telefon Redakcji: 2573.

Pismo dla Rodzin, Bractw i Stowarzyszeń katolickich.

Bezpłatne dodatki:
„SŁOWO BOŻE“ i „OPIEKUN DZIECI“.

Adres dla wszelkich przesyłek:
„Przewodnik Katolicki“
Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22.
Telefon Administracji: 3613.

Przedpłata kwartalna za „Przewodnik Kat.“ w ekspedycji i w agencjach 100 m., na pocztę 139,20 m. Wysyłany z ekspedycji pod opaską 150,00 mk. „Przewodnik“ zapisany jest na pocztę jako „Przewodnik Katol.“ Poznań. -- Cena ogłoszeń 60,00 mk. od wiersza drobnego.

Nr. 11 — 13.

Poznań, dnia 26 marca 1922 roku.

Rok XXVIII.

Dnia 2 marca b. r. wybuchł nagle strajk we wszystkich przedsiębiorstwach drukarskich w Poznaniu. W przekonaniu, że zatarg o podwyższenie płac wkrótce załagodzony będzie, postanowiliśmy czekać do ukończenia strajku. Tymczasem wbrew naszym przewidywaniom strajk przeciągał się. Nie chcąc narażać Szanownych Czytelników na obywanie się bez pisma na czas dłuższy, postanowiliśmy wydać siłami za-
stępczymi choć w zmniejszonej objętości pismo nasze bez ilustracji. Skoro tylko strajk się ukończy, posta-
ramy się powetować szkodę przez wydanie szeregu numerów Przewodnika bogato ilustrowanych w znacznie
rozszerzonej objętości z wszystkimi dodatkami. Szanownych Abonentów prosimy o nadesłanie prenumeraty
na kwartał drugi, która mimo prawdopodobnej podwyżki płac pracowników drukarskich pozostaje bez zmiany.
Ktoby dobrowolnie złożył wyższą przedpłatę, przysłuży się naszemu Wydawnictwu.

W CZYM ZACIĄGU?

Ameryka znana jest także z tego, że jest Kra-
jem mnostwa sekt protestanckich, zwalczą-
jących się wzajemnie. Jedyną bodaj rzeczą,
która wszystkim odłamom tamtejszych inno-
wierców jest wspólna, to nienawiść do Kościoła Chry-
stusowego. W tej walce z Kościołem świętym mają
one niestety sojuszników w zwolennikach i człon-
kach t. zw. Kościoła narodowego polskiego. W pis-
mach i gazetach odszczepieńców Polaków w Ame-
ryce ta sama ujawnia się nienawiść wstrętna i podła,
jaka cechuje zwykle tych, którzy zupełnie zerwali
z wiarą świętą. Nie chcą nłby podkopywać religii
ani osłabiać wiary wśród ludu polskiego, lecz atakują
stałe duchowieństwo katolickie, wysuwając zawsze
twierdzenie, że „tylko złych księży“ piętnują i potę-
plają. Mówiąc jednak o jakichś złych księżach, wy-
rażnie ich nie wymieniają, tylko szkalują po pismach
całe duchowieństwo katolickie, które dostaje cieżę
przecież nie za to, że wśród niego nie wszyscy są
aniołami, ale za to, że jest duchowieństwem pra-
cującym gorliwie w winnicy Kościoła Chrystusowego
i stawiającem zapórę wszelkiego rodzaju próbom
oderwania Polski od Rzymu. To postępowanie pew-
nych pism polskich w Ameryce o niskiej bardzo mo-
ralnej wartości, napiętnował niedawno publicznie je-
dyny biskup amerykański Polak ks. Paweł Rhode.
„Mamy, pisze w liście pasterskim, w prasie miecz
obosieczny, którego używać można czy to na chwałę
Bożą i dobro ludzi czy też w zaciągu czarta na

szerzenie spustoszenia w duszach ludz-
kich. Niestety są gazety, które schlebają niższym
instyktom swych czytelników, zamiast prowadzić
ich po świetlanej drodze prawdy i cnoty, czytel-
ników karmią sensacjami i artykułami mogącymi
być źródłem niewiary, zepsucia i najdrożniejszych
zboczeń. Jak naogół daleko do tego, aby według
słów Leona XIII pisma wszystkie miały „religie-
za przewodniczkę a cnotę za towarzyszkę“. Mi-
łość Boga i bliźniego każe nam uważać przeciwdzia-
łanie wpływowi prasy szkodliwej za jeden z najwa-
żniejszych i najaktualniejszych obowiązków chrześci-
jańskich obecnej doby. Wiele dobrego zdziała ten-
co złu drogę zaskoczy i przez wczesne zaprzewie-
rowanie gazety katolickiej dostępu nie da pismom
szkodliwym do ognisk domowych. Zaabonowanie ga-
zety uczciwej, udarowanie nią sąsiada, to dobrodziej-
stwo, którego owoce trudno przewidzieć a tem
mniej ocenić. Słusznie porównać można starania nad
rozszerzaniem prasy chrześcijańskiej z pracą apo-
stolską misjonarza, który niesie światło wiary do ludu
w pogaństwie pogrążonego.

Niechaj sobie te słowa ks. biskupa Rhodego
wezmą do serca te nieliczne coprawda u nas jed-
nostki, które z Ameryki rozmaite piśmidła otrzymują
i je czytają.

Chyba nie dopuszczają nadal do kółka rodzin-
nego pisma, którego człowiekowi religijnemu do rąk
z spokojnem sumieniem dać nie można.

HARMONJA.

Harmonja to zgoda. Mamy dziś mówić o harmonji między Kościołem a państwem. Czy zgoda pomiędzy temi dwiema władzami jest możliwa? Czy może interesy obydwóch tak się ścierają wciąż i krzyżują, że najlepiej byłoby Kościół od państwa zupełnie odłączyć? Wszakże głosy za takim rozdziałem już w naszym sejmie przed rokiem się odzywały. Cóż o tem sądzić?

Widzieliśmy w ostatnich dwóch artykułach, że tak państwo, jak i Kościół od Boga pochodzą — choć pierwsze pośrednio tylko, a drugi bezpośrednio. Jeżeli tak jest istotnie, to już z góry wnioskować możemy, że między Kościołem a państwem nie może być niezgody i walki. Bo czyż można choć na chwilę przypuszczać, żeby Bóg powoływał na świat takie instytucje do bytu i ustanawiał takie władze, któreby się wciąż zwalczały i kłóciły ze sobą musiały? Któreby były zarzewiem ustawicznych bratnich zamieszek i waśni, a stąd i nienawiści i grzechów licznych pomiędzy ludźmi? Bóg, który wszędzie w przyrodzie ustawił największą harmonję, miałby przez założenie swego Kościoła rzucać jakoby kość czy jabłko niezgody pomiędzy ludzi i dawać powód do bezustannych walk i wzajemnych szykan? Nie, to żadną miarą być nie może.

Więc Kościół i państwo z woli Bożej mogą i powinny żyć w zgodzie i harmonji obok siebie. Tak, jak rozum i wiara, te dwa źródła poznania i prawdy, nie mogą nigdy słusznie przeczyć jedno drugiemu, dlatego, że oba od Boga są dane, tak też Kościół i państwo, nie mające ze sobą nic sprzecznego ani dla siebie szkodliwego. Co więcej, ich interesy nie tylko w poprzek sobie nie stają, ale wzajemnie się popierają i wspomagają.

Po pierwsze nie przeszkadzają sobie nigdy. Dla czego? Bo przeszkadzać sobie nie mogą. Każda z tych władz ma zupełnie inny zakres działania. Choć obie działają na tych samych obszarach i ziemiach, choć obie mają tych samych ludzi za podwładnych i nieraz te same rzeczy sobie podległe, to jednak prawdziwa sprzeczność działania nigdy zaistnieć nie powinna i nie potrzebuje. To zaś z tej prostej przyczyny, że Kościół, choć jest na świecie, przecież nie jest królestwem z tego świata, jak państwo, że każda z tych dwóch społeczności ma swe własne granice i obręb pracy, każda swe odrębne cele i odmienne środki. Jedna jest przełożoną nad sprawami Boskimi, druga nad sprawami ludzkimi. Jedna zmierza przede wszystkim do opatrzenia wygod życia doczesnego, druga do zapewnienia szczęścia wiecznego. Wszystko więc, co w rzeczach ludzkich jest w jakibądź sposób świętem, co dotyczy głoszenia nauki Bożej, zbawienia dusz lub służby Bożej, to wszystko podlega władzy i sądowi Kościoła. Cokolwiek zaś tyczy się obrony granic kraju, czuwania nad spokojem wewnętrznym, zapewnienia ludziom dobrobytu, bezpieczeństwa życia, czci i mienia — słowem, wszelkie sprawy świeckie i polityczne, zależą wyłącznie od władzy państwowej. Gdzie zaś obie zwierzchności niejako się stykają, gdzie pewne sprawy podpadają pod prawo i sąd obu władz razem, lubo inny sposób i pod innym względem, tam wspólne i przyjazne porozumienie się stron obu powinno rzecz załatwić. Obie więc władze są najwyższe i od siebie niezależne, lecz do każdej z nich należy inny zakres praw i obowiązków — co Chrystus tak krótko a jasno wyraził słowami: »Oddajcież

tedy co jest cesarskiego cesarzowi, a co jest Bożego Bogu.»

Ale nie dosyć na tem. Kościół i państwo nie tylko sobie w swej odrębnej dążności nie szkodzą i nie przeszkadzają, ale wzajemnie sobie dopomagają i swą pracę ułatwiają. Niestety historia nas uczy, że nie zawsze tak było — nawet w państwach chrześcijańskich. O wiele więcej korzyści i pomocy dawał Kościół państwu, niż sam od nich tej pomocy odbierał. Kościół idąc za rozkazaniem Boskiego swego Założyciela, by nauczać wszystkie narody, zawsze i wszędzie tę szczytną misję spełniał, bez względu na to, czy państwo go w tem zwalczało czy popierało. Zawsze i wszędzie wychowywał ludzi na szlachetnych i sumiennych obywateli, a przez to ułatwiał pracę rządowi i władzom świeckim. Państwa zaś i rządy w swem zaślepieniu często nie tylko Kościoła nie wspierały, ale go w najokrutniejszy i bezwzględny sposób prześladowały i czarną niedzięcznością a nieraz i krwawą zemstą płaciły za doznana pomoc i nieocenione dobrodziejstwa — prawdziwie tak, jak żydzi Chrystusowi.

A jednak, czy Kościół zasługiwał na taką niewdzięczność? Czy kiedykolwiek zdradził jakie państwo lub doprowadził je do upadku? Czy zależność biskupów i duchowieństwa wogóle od Rzymu i od papieża w rzeczach wiary i karności kościelnej przez Chrystusa nakazana, zgubiła już kiedykolwiek kraj jaki? Więc dlaczego tę zależność zarzucają duchowieństwu wciąż tak bezgranicznie głupio socjaliści i inni międzynarodowcy, którzy zapominają o tem, że sami o wiele więcej zależą od swych zagranicznych przyjaciół i dyrygentów, i że gotowi się z nimi bratać, choćby za cenę okrojenia lub zaprzędania Polski? Dzięki Bogu, nie wszyscy przecież wśród nich chcą tego, lecz tylko skrajne zdaje się wyjątki.

Kościół tymczasem nigdy nie pracował na zgubę jakiegokolwiek państwa i kraju, lecz przeciwnie. Wszędzie był ostoją tronów i rządów, ostoją praw wszelkich i prawidłowej władzy. Niema drugiej instytucji na świecie, któraby tyle usług oddawała państwu i rządowi, co Kościół katolicki. Bo na co mamy sejm i posłów, na co ustanawiamy prawa i kary, na co jest policja, na co sądy, więzienia, szkoły i inne urządzenia państwowe? Na to, by karać i tłumić przynajmniej największe wybryki i zbrodnie; na to, by czuwać nad publiczną uczciwością, bezpieczeństwem i sprawiedliwością; na to, by wychowywać młode pokolenie na zacnych i roztropnych obywateli.

A kto, pytam, właśnie nad tem najsukceszniej pracuje? Kto najusilniej i najgłębiej kształci charakter i sumienie ludzi? Kto wychowuje młodszych i starszych po Bożemu, kto łagodzi dzikie obyczaje, urabia zdrową opinię i zaszczepia cnoty wszelkie? Czyliż nie religja, czyli nie Kościół katolicki? Dlatego nawet taki bezczelny szyderca, jak de Fernay, powiedział, że »religia potrzebna jest każdemu państwu choćby dlatego, że prawo zapobiega tylko publicznym występkom, religja zaś także tajemnym.«

I za to wszystko należałoby Kościoła nie wspierać, ale go zwalczać? Za to należałoby go krepuwać i od państwa wrogo odłączać?

Więc ślepem i zbrodniczem jest wołanie za rozdziałem Kościoła od państwa w kraju takim na wskroś katolickim, jak Polska. Ślepem i zgubnym

Państwo jest krepowanie wolności Kościoła i od-
suwanie go od wpływu na ustawy, na wychowanie
młodzieży, wogóle na całe życie prywatne i pu-
bliczne.

Jeżeli przeto dziś państwa zabiegają pilnie
o przyjaźń i sojusze z innymi państwami, to my

obok tego pamiętajmy przede wszystkim o tem, że
najkorzystniejszy i najmędrzy sojusz, to harmonia
państwa naszego z Kościołem. Kościół bowiem kla-
dzie najtrwalsze podwaliny wewnętrzne pod budowę
państwa, wychowując mu karnych i sumiennych oby-
wateli.

J. K.

Moja podróż polityczna.

Przegląd kresowca zachodniego na kresach wschodnich.

Skreślił J. S. z Bylina.

I.

Smutne losy Wilna. — Odezwa „Poradnika”. — W biurze redakcyj-
nem. — Przygotowania do podróży. — Opróżniony album. — Na
dworcu poznańskim. — Przedział dla psów. — Przyjazd do Warszawy.

Wilno! Ile razy to słowo w ostatnich latach
obito się o uszy nasze! Wśród wielkiej wojny bo-
dał które miasto polskie tak ciężkie przechodziło
koleje jak Wilno. Moskał się w niem zagnieździł
na dobro, aż go Niemcy w drugim roku wojny wy-
parli daleko na wschód a Wileńszczyznę wojskami
swemi kupowali. Wilnianie dostali się z deszczu
pod rynnę. Jeszcze w pamięci wszystkich żywo za-
chowują się drakońskie rządy osławionego Isenburga,
który tyjące obywateli Polaków kazał wywozić
w głąb Niemiec i umieszczać w obozach koncen-
tracyjnych a nie wahał się skazać na wygnanie na-
wet administratora diecezji wileńskiej, ks. prałata
Michałkiewicza. Po Niemcach bolszewicy, Litwini;
kiedy wojska polskie cofały się z pod Kijowa, zda-
wał się los Wilna być przypieczętowany. Już układ
stał, mocą którego sowiecka Rosja odstąpiła mia-
sto wspaniałomyślnie. Litwinom, którzy jednak nie
długo nacieszyć się mogli i jego posiadaniem. Dywizja
litewsko-białoruska pod wodzą gen. Żeligowskiego
oswobodziła miasto i najeźdźców obcych odrzuciła
na północ. Utworzono wtedy państwo, wko nazwane
„Litwą Środkową”. Zaczęły się spory długotrwałe,
przeniesione na teren międzynarodowy, kto ma prawo
do Wilna, Polska czy Litwa? Społeczeństwo tam-
tejsze niechaj samo stanowi o swoim losie, powie-
działa Polska. I oto w grudniu r. z. rozpisano
w „Litwie Środkowej” wybory do Sejmu, który miał
orzec ostatecznie, jaką drogą pójść pragnie, razem
z Litwą czy z Polską.

Wybory naznaczono na dzień 8 stycznia b. r.

Z zapartym oddechem śledziliśmy wszyscy
w Polsce przebieg akcji wyborczej.

Było to w Święto Bożego Narodzenia. W uro-
czej, spokojnej wiosce gospodarskiej, w Bylinie, sie-
dzeliśmy razem w domu, miłą prowadząc pogawę-
dkę o naszej kochanej Polsce i jej nieustalonych
dotąd granicach. Na stole leżał nasz nieodłączny
towarzysz „Poradnik Gospodarski”. „Czytałeś, od-
zywa się matka moja, co pisze „Poradnik”? Oto
potrzebują ludzi do akcji plebiscytowej na Wileń-
szczyźnie.” Wziętem do ręki „Poradnika” i rzeczy-
wiście czytam odezwę p. Trzecińskiego, aby
zgłosiło się choćby kilkunastu gospodarzy lub synów
gospodarskich na wyjazd do Wilna. Kilka dni niechaj
poświęcą, aby biorąc udział w akcji wyborczej, przy-
czynili się do zdobycia tej twierdzy polskości, jaką
jest na wschodzie Wilno. Zarazem dodano upomnie-
nie, aby każdy ciepło się ubrał, bo tam na kresach
wschodnich Ojczyzny ciągle śniegi i mroź sziarczysty.

Jechać czy nie jechać, myślę sobie. Chętnie
przystąpiłbym się sprawie narodowej; a przy tej
okazji zwiedziłbym szmat ziemi polskiej, ujrzałbym
Warszawę (tak opiewała odezwa), nasze polskie

Wilno, drogie każdemu sercu polskiemu, przede-
wszystkiem pomógłbym się przed cudownym obra-
zem Matki Boskiej Ostrobramskiej, o której to ze
czcią głęboką wspomina nasz nieśmiertelny Adam
Mickiewicz, poznałbym i lud tamtejszy i stosunki,
wśród których żyję, a temsamem poznałbym Polskę
na wschodzie, o której w książkach jeszcze za cza-
sów Prusaka tyle czytałem. Warto jechać! A co
do czasu? Jest zima, na wsi praca spoczywa; kil-
kanaście dni snadnie poświęcić mogę. A trudy zwią-
zane z podróżą i pracą wyborczą! Nie lękam się
ich; praca na roli też nie łatwa, zresztą nie jestem
przecież z cukru ulepiony; dobra wola niejedną
przeszkodę z drogi usunie. A śniegi i mrozy? Mamy
je także w Wielkopolsce. W długich butach, się-
gających kolan, w śniegu się zapewne nie utopię,
a ubranie? Mojem zdaniem ono samo z siebie ciepłe
nie jest, raczej je człowiek ciepłem swego ciała
ogrzewa. A więc zgłoszę się! Ale jeden jest waru-
nek, nie bardzo zapraszający w daleką tę podróż.
Poświęcić trzeba swą wymowę. A w tem sęk. Bo
złotoustym mówcą nie jestem, ale jak to na wsi
wychowany mówię prosto z mostu. Ponieważ jednak
tak serdecznie szczególnie nas Wielkopolan ze wsi
zapraszają, więc zaryzykuję.

Następnego dnia byłem w Poznaniu. „Ilu już
się zgłosiło?” pytam nieśmiało w biurze „Poradnika”.
Dopiero sześciu, brzmi odpowiedź, i anim się spo-
strzegł, już moje nazwisko znalazło się na liście.
„Ody dobrego ziarna brak, powiedziałem sobie, to
i poślad zużywa się w gospodarstwie”. Tymczasem
się jednak, że chętnie bym jechał, ale nigdy pu-
blicznie na wiecach nie przemawiał. Więc tylko
w takim razie wyruszę w świat, o ileby zbyt mała
znalazła się liczba kandydatów. Na nie moje skromne
uwagi: „Jedź Pan, powiedziano, jakoś to będzie.
Dnia 28-go grudnia stawi się Pan w Redakcji „Po-
radnika Gospodarskiego”.

W drodze powrotnej do domu o niczem innem
nie myślałem, tylko o bliskiej podróży do Wilna.
Tylko z tą wymową! Jak ja sprostatam zadaniu! Eji
może się język sam rozrusza, a jeżeli w rozpędzie
powie coś niestosownego, to przynajmniej śmiać się
nie będzie nikt ze woih...

Rano dnia 28 grudnia już byłem gotów do jazdy.
Przedemną wielki grater europejski, bo w czasie
wojny prawie całą Ekropę przebył, i walizka potęż-
nych rozmiarów, w niej mnóstwo „ciepłych” rzeczy,
a przede wszystkim pirowian, który wedle oblicze-
nia mego miał starczyr na dwa tygodnie (zjadłem
wszystko w tygodniu). Doprawdy trzeba być na
wsi wychowanym, aby takie ciężary z sobą i na sobie
nosić i wozzić. W Poznaniu dowiedziałem się, iż
będzie nas dwunastu „agitatorów”, lecz kilku pojedzie
wprost do Warszawy; ci, którzy przybyli do Pozna-
nia przed odjazdem mieli się zebrać celem wzajem-
nego zapoznania się. Pobiegłem tedy na miasto,
aby zakupić niejedno, zwłaszcza karty z widokami
Poznania, Gniezna i t. d. bo mówiłem sobie, takie
rzeczy zastąpią na Wileńszczyźnie niejedno słowo,
a jak później stwierdzić mogłem, istotnie nie myliłem
się. Poprosiłem także p. W. i jego nadobne córki,
aby opróżniły piękny album z widoków, co chę-
tnie

nie uczynili, za co im oprócz mnie dziękują także poczciwi wieśniacy ziemi Wileńskiej.

Znajomemu kupcowi kazałem do starej latarki elektrycznej dać nową baterję, nawiasem mówiąc, tak ją paradnie założył, że długi czas paliła się w kieszeni, tak że gdy ją chciałem w Wilnie użyć, okazało się, że całą swą energję straciła.

Na oznaczoną godzinę udałem się do Redakcji „Poradnika”. Zastałem już kilku kolegów, zapoznałem się z nimi, otrzymałem tymczasową legitymację, po południu jechałem tramwajem na dworzec, by wykupić bilet i spotkać się z towarzyszami podróży.

Bilet kupić, nie wielka rzecz; ale znaleźć tych, którzy razem ze mną udać się mieli na dalekie kresy Ojczyzny, był trud nie mały. Z ciężkim kufrem i centnarową walizką chodzę wduż pociągu od końca do końca, a moich towarzyszków ani śladu. Widząc mnie obciążonego takimi ciężarami nie jeden życzliwy odezwał się: oddać na bagaż — ba, kiedy kufer miał popsuty zamek, klucza na dobitkę też nie miałem, a nuż coś z niego zginie!

Już mi pot kroplisty z czoła spływał, gdy jeden z urzędników wepchnął mnie do przedziału sąsiadującego z przedziałem dla podróżnych z psami. Był on oznaczony tabliczką z napisem polskim i niemieckim; widocznie i niemieckie psy mogą tam wsiadać!

Ciekawy to przedział! Próżny był, ale wara tym, którzy psa z sobą nie mieli. Kto tylko się za-

puścił, by drzwi otworzyć, już słyszał za sobą Krzyk urzędnika kolejowego: Nie wolno.

Wszędzie wagony przepelnione; więc pewien odważny podróżny wcisnął się do tego przedziału. Zrobiła się awantura: Chciano go usunąć mimo tłumaczenia, że gdy ktoś z psem przybędzie, to sam ustąpi. Poczciwiec zrozpaczony już oglądał się na wszystkie strony, czyby na czas podróży nie mógł kupić jakiego psa choćby z ulicy. Już i ja zacząłem żałować, że nie zabrał z sobą naszego „Kruczka”, byłbym jechał wygodnie, a nie w tłoku i ciżbie...

Nareszcie o 5 po południu albo jak teraz zrozumiałe, a dla wielu niezrozumiałe mówią o 17-ej pociąg ruszył. W Toruniu mieliśmy postój od 9^{1/2} do 10^{1/2}. W drodze rozmawialiśmy o Wilnie. Będzie nasze, będzie należało do Polski, oto głębokie przekonanie wszystkich, którzy jechali z nami. „Przecież nasze banki i domy handlowe już otwierają tam swoje filje i zakupują różne gmachy, więc Wilno napewno przypadnie Polsce, argumentuje pewien kupiec.

O godz. 7 rano stanęliśmy w Warszawie. Nie wiedząc, co się dzieje z moimi towarzyszami podróży, czy jadą tym samym pociągiem, czy też nie, udałem się sam tramwajem na ul. Kopernika, gdzie zamieszkuje p. Z., który miał nas oczekiwać na dworcu.

JAK BYŁO ONGI...

Z POWODU II. TARGU POZNAŃSKIEGO.

Tam gdzie do Warty niesfornej zanurzają swe ubogie w wodę, a dziś suche gardziółka Bogdanka i Cybina, od niepamiętnych czasów rozłożył się gród dziwnem mianem obdarowany, to Poznań. Kronikarz, któremu widocznie na sercu leżała miłość pobratymczych ludów słowiańskich, nazwę Poznania śmiało wywiódł od poznania się właśnie tutaj trzech rodziców, trzech bliskich sobie krwią i mową narodów — Lecha, Czecha i Rusza. Ale że niewiadomo, ażali żyli przed wiekami podobnych umion mężowie? czy się znali ze sobą, pamiątkę zaś założenia grodu zwykle twórca tegoż przekazywał własnemu imieniem, tedy i Poznań łatwiej wywiedzie pochodzenie swoje od czcigodnego acz nieznanego w historii króla Poznania, a powstanie swe temu przypisze mężowi, podobnie jak Kraków ma je od Kraka, Warszawa — od Warsza, Lwów — od Lwa-Leona.

Weześnie Poznań nabrał znaczenia. Tędy dążył sławny cesarz Otto do Gniezna, aby ukłekać przed grobem św. Wojciecha, tedy, aleć w odwrotną stronę, może przez Zbąszyń śpieszył orężnie Bolesław Chrobry z drużynnikami na Łużyce, gdzie do dziś dnia jeszcze garstka przechowała się Słowian, niby wysępka sorać bardziej podmywana przez morze niemczyzny, tedy przez Poznań — ku północy przejeżdżały karawany kupieckie i odwrotnie na południe, na Śląsk, ledwo zaś pojawili się Krzyżacy, a już zawarto z nimi umowę wedle opłaty, jaką u bram miasta uiszczać mieli od każdego konia kupcy pruscy na targ przybyli, czy tylko przejezdni. Miasto same było maleńkie, chociaż państwo wielkie: Ostrów tumski, Śródka, a dalej kościół św. Jana, gdzie z czasem rozsiedli się rycerze pobożni, joannici — oto Poznań najstarszy.

Ale w XIII wieku w Polsce nastała moda zakładania miast z udziałem Niemców, niemieckiem prawem się rządzących, moda wprowadzona z musu na skutek opustoszczenia kraju przez Tatarów i przez wojny domowe, kiedy dalej na zachód za Odrą kwitły bujnie jak zboże na polach

krwią słowiańska przesiąkniętych piękne miasta niemieckie, z którymi żywe utrzymywano stosunki.

I oto książęta Przemysław i Bolesław wielkopolscy, aby Poznań uczynić środowiskiem handlu, z któregoby zyski w niemałym stopniu szły i do ich skarbcza biednego, sprowadzają ochotnych Niemczyków, ustanawiają jarmark doroczny, podczas którego wolno handlować bez uciążliwych opłat, zwalniają mieszkańców od cel i zakładają w ratuszu składnice kupieckie, lecz, co najciekawsza, przenoszą miasto tam, gdzie dziś Rynek Stary i Góra Zamkowa. Co było księcia własnością, teraz będzie miejską, więc w roku 1200 Przemysław II, późniejszy król zamordowany, poradziwszy się panów miasta, sprzedaje sklepy czewskie, kuśnierskie, jaski rzeźnicze, budy piekarskie, kramy winne. I byłby handel rozwijał się wielce, gdyby wolną była stała się droga do Gdańska zajętego przez Zakon Krzyżowy i gdyby rycerzykizujące nie napadali na Bogu ducha winnych kupców, którzy hen do Saksonji, na Śląsk, do odległej, hen! za Królestwem czeskim Norymbergi bawarskiej po towary sukienne, aksamit, korzenie wyruszał, w drodze zaś nieraz opadani przez łotrzyków, tylko z życiem ująć mogli. Wszak ci to nawet gościom francuskim, zbrojnym i mocnym w przyjaźni krzyżaków, nie darował taki Bartosz z Wissenburga, jeden z najwybitniejszych Wielkopolan w XIV wieku, a cóż mamy mówić o samym wojewodzie poznańskim, Maćku Borkowiczu, który się nie wstrząsa nad straszną śmiercią jego: za chciwość pan ten głodem umorzony został. Zaświtały jaśniejsze chwile dla Poznania, kiedy w murach jego pojawił się Jagiello król i synowie jego i wnucy. Już też nakazano kupcom obcym, którzy tedy jeździć będą, przez trzy dni na okaz wystawić towary, aby się w nie miejscowi za słuszną opłatą zaopatrzyć mogli i nadmiar wziąć jeszcze, którzy się odprzeda panom szlachcie lub po miasteczkach omiarynych przez wielkich kupców zagranicznych. Tędy pro-

wadził droga z Pomorza na Kraków, a więc niechybnie sukna coś niecoś z Anglii i Belgii Flandrii, a może wina francuskie zawiezie się do składów i piwnic, bo jedno i drugie Gdańsk sprowadzał od lat wielu. Z nastaniem królów Jagiellonów otwały się Poznańskiemu dalekie rynki na Wschodzie — nad Wieprzem i za Bugiem. Zakolatali do serca monarszego i pozwolono im miłościwie bez żadnych opłat, po drodze chciwie wybieranych przez miasta inne, sprowadzać, co Ruś bogata produkuje i na targ wyrzuca, a więc sól i futra i stada wołów, których czasem kilkadziesiąt tysięcy z bujnych łąk wołyńskich i podolskich pędzą, a raczej bliżej, z targów biorą w Lublinie się odbywających. Lecz żałą się kupcy, że drogi w Wielkopolsce takie ciasne jak płudry niemieckie, proszą o ich rozszerzenie i słusznie, bo głupie stada i obojętni na dobro cudze prowadzący pół nie szczędzą, nie zważają na miedze.

Jeślibyś mógł duchem wznieść się czytelniku, do wiosennego jarmarku w Poznaniu w onych czasach w XV i XVI w. jeślibyś ucho nakłoniwszy, posłuchał, co szeptała Historia stara, a niezmordowana w coraz to nowych i ciekawych opowieściach, tobyś się dowiedział, że Poznań naówczas przestawał być polsko - niemieckim miastem, lecz jakimś bazarem wschodnim, gdzie dzicy ludzie, w śpiczastych czapkach, w kożuchach banaranych śmierdzących, mową gardłową a niezrozumiałą wychwalały futra rysie, wilcze, niedźwiedzie, wdyże i lisie, juchty czyli skórę czerwonoń farbowaną mają na sprzedaż, a spieszyć się trzeba z kupnem od nich, gdyż pojedą dalej w stronę Saksonii i Śląska, do Wrocławia i Lipska. Są to Tatarzy, z ziem ruskich, osadzeni tamże przez księcia Witolda, i podobni do nich z ubiorem, a często i z gęby Moskale i Rusini z nad Dźwiny i Dniepru, niektórzy aż z Mohylowa, miasta tak daleko leżącego, że nawet żyły konie wlańskie w ostatniej wojnie, choć piły wodę z brzegów Dnieprowych pod Kyszrem, trawy z ogrodów mohylowskich nie szczypały.

Magistrat na widok odrażających gości ręce zaciera z ukontentowaniem. Pacholki miejskie liczą konie i wozy: sporo się grosza wybierze od kupców wschodnich, opłata przyznana przez króla, dyszlówka na raz tylko przynosi 340 złotych, za co 120 garnców kwaśnego wina sprawić można lub 120 wiertelów (wiertel = 18 garncy) żyta, ba! sto kilkadziesiąt oscelek masła świeżego czy też parę dobrych setek gęsi tuczonych. I więcejby wybrali urzędnicy cełni grosza, gdyby nie dokument niektórych kupców, z których się okazuje, że byli wśród nich sławetni mieszczanie wileńscy. A ci są wolni od opłat, zapewne wet za wet będą kupcy poznańscy w grodzie Gedymina nad Wilją. Lecz coż to za brodacze z lokami poniżej uszu się zwieszającami, w żółtych czapkach na głowach z kółkami czerwonymi na piersiach nieśmiało zbliżają się do wozów. To Żydowiny miejscowe, łaską króla Kazimierza Jagiellończyka z Niemiec puszczeni, owi Aszkenazowie, Majmoni i inni. Żółte czapki z rozkazania królewskiego nosić muszą, aby się z dała wydało, że są Judejczykami, kółka czerwone uszyte i przypięte również z musu, bo tak chciał synad czyli zgromadzenie duchowieństwa polskiego Uciecha to dla chłopaczków, wychowanków akademii Lubrańskiego, którzy ani jednemu Izraelicie przejeżdżającemu przez Śródkę i Chwałiszewo nie darują, i tylko okup corocznie składany u imci rektora, kazubałem zwany, chronić ich będzie później, choć niezawsze od kamieni i kljów zuchwałych i krewkich żaków. Owóż i teraz pacholki miejskie odpędzają ich gwałtownie, bo też i nie wolno im podchodzić i do targu stawać, aż chrześcijańscy kupcy nie załatwią sprawunkp, już też w zaniedbanie wchodzi dozór nad żydowskim plemieniem, każdy pożar w ich „getto“ początek bierze ze szkoda miasta. Bydło gromarzą w swojej dzielnicy i skóry, skąd zapach obrzydliwy

przyczyną bywał morowego powietrza, od którego nikt nie masz nieboże powszechnie, iść dokąd — w lasach nie pożywisz się, klasztorze przepełnione za opłatki nie puczą, i tak ginie biedna ludność Poznania. Taka jest dola zwłaszcza mieszczan ubogich i tych, co z zagranicy dalekiej, lądy i morza przebyli, chroniąc się na łonie Rzeczypospolitej polskiej przed prześladowaniem winy ojców — to Szkoci i Angielczycy, niektórzy katolicy, większość protestantka, ale nie tego wyznania, które jest panujące. Jest owych Szkotów do 300 głów, ale ich mieszczaństwo polskie nie lubi, choć znosić musi. Skarżą się na bluźnierstwa, po pijanemu prowadzą głośnie, na ich „fortyle“, że w paru budach jeden sprzedaje, że po bramach sadzają chłopaczków z nożami, broń oże, nie by krzywdę wyrządzić, ale na sprzedaż. Wykupują ci pracowici zamorscy goście kamienice w rynku, z domokrażnych kupczyków wyrastają na kupców dostatnich, na patrycyuszów, na przedstawicieli miasta w magistracie, tylko morowe powietrze, głód, wojny, tęsknota za ojczyzną, wreszcie nieprzyjaźń mieszkańców przededza ich szeregi, tępi ich, tak że zmieniają nazwiska lub wychodzą na zawsze. Wesełsi od Szkotów są Włosi, najłatwiej znaleźć przy kramach winnych, w aptekach, a wdzień nietargowy ujrzyć, jak wspinają się po rusztowaniu z farbami, aby pędzlem pociągać dziwne obrazy na ratuszu poznańskim i krotofile wyprawiać z żydówkami, które im pozują schwytano przez gawiedź jako amazonki na wieprzach tłustych i świniach. Aż te sprostności magistrat na prośbę starszych żydowskich przemałować kazał.

Targi poznańskie najznaczniejsze w kwietniu, na św. Jana i na jesieni największe osiągnęły powodzenie w 16 i początkach 17 wieku. Ale już przed wojnami szwedzkimi podupadać zaczęły. Kiedy zaś w Lipsku i Frankfurcie otwarto jarmark, ustały targi poznańskie i tak ze wschodu jak i zachodu Poznań albo omijano, albo doń nie dojeżdżano wcale. Właściwie upadek handlu poznańskiego nie jest odosobniony, jednocześnie upadło znaczenie Krakowa i Lwowa jako siedliska targów, ogromnie zato wzmacnia się Wrocław, a w granicach Rzeczypospolitej — Leszna i Wschowy na pograniczu śląskiem na północy zaś — Gdańsk. Dopiero pod koniec 17 wieku Poznań podnosi się przez ożywiony handel drzewiemy, które dostarcza do Szczecina, jakkolwiek rząd pruski obciążył je cłem bardzo znacznym.

Ślady świetności handlowej grodu Przemysławia zachowały się w księgach brackich. Od 14 wieku było bractwo kupców handlujących sukniem, a sukniennice ich przetrwały wiele złych czasów, aż je żołdacy szwedzcy w 18 wieku zrujnowali, a nikt potem nie miał siły ich odnowić. Innego rodzaju było bractwo kupców handlujących niewielniami towarami, które na swe potrzeby wybierało od każdego wprowadzonego z zagranicy towaru i od każdego wypowiedzianego cenę sumę. Oprócz bractw kupieckich były bractwa i cechy rzemieślnicze, a z tych najstarszą rybitew czyli rybaków. Wiele dziesiątków, kilkaset lat bronili się mieszczanie chrześcijańscy Poznania od Żydów. Ci zrazu trudnili się lichwą, potem dopiero do handlu się wzięli, bo chmara ich ani większych sum nie posiadała ani też bezpiecznie było wypożyczać słachcie, która dziś tu — jutro tam na polach bitewnych i — u Pana Boga na służbie. Zmaganie się z Żydami staje się trudniejsze już za Władysława IV przed najazdem szwedzkim. Ale dopiero na gruzach i popieliskach miejskich roi się Żydostwo i z 10-procentowej ludności w Poznaniu w 17-ym wieku wyrasta na 30-o procentową w czasach rozbiorów. Błogosławione niech będą imiona tych Prusaków, którzy wolność ogłosili żydom w połowie minionego stulecia. Sypnął się Izrael Interesy robić nad Szprewą — Berlinie, i nad Łabą — u wrót morza Północnego w Hamburgu. Zwolna odpływał ten odmet brzydki, zawsze dzi-

wale obcy, wstrętny mieszkańcom i wrog, pozostawiał do zwalczania Niemcy. Dziś wiemy, że z pośród naszych wielkich miast jako najbardziej polski Poznań kroczy na

czele, mając dziewięć dziesiątych na konie swoim Polaków.

TAJEMNICA MISTRZA.

PRZEDZIWNĄ POWIEŚĆ Z ŻYCIA IMCI PANA TWARDOWSKIEGO.

NAPISAŁ KAZIMIERZ KALINOWSKI.

Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone.

(Ciąg dalszy.)

X. Za głazem grobowym.

Ciężkie drzwi zaskrzypiały za Twardowskim, a ledwie się zamknęły, już karzeł znalazł się na dawnym miejscu. Ze zdwojoną siłą zabrał się do żelaznych kółek, tarmosząc nimi gwałtownie.

...Nie bój się grobowego kamienia odwalić... Odpoczął na mgnienie oka, odsapnął i uczeplił się na nowo zardzewiałych kłamek...

I naraz przewrócił się w tył, przywalony ciężarem do ziemi.

W pierwszej chwili wydało mu się, że to głaz grobowy wali się na niego i kości mu gruchocze. Ale kiedy się znalazł na posadzce, przysiadłszy prawie na niej swoim garbem, zrozumiał, że nie stało mu się nic złego. To, co mu piersi garbate tłoczyło, nie opierało się na nich swoim ciężarem.

Karzeł wyciągnął przed siebie rękę i zepchnął z nich domniemany kamień. Stęknęły łańcuchy, a kość mamutowa od góry na nich zawieszona, zachwiała się jak dzwon: w bok odgięła.

Z tego Żuż skorzystał, by się dźwignąć z ziemi i w bok odskoczyć, zanim rozkołysany wisior nie uderzy weń z powrotem.

Powstawszy, przekonał się, że upadając na podłogę, porwał z sobą szczątek mamuta, który zadrzawszy w powietrzu, dosięgnął go nieco z przodu.

Natomiast nie runął na niego bynajmniej mur odwalony.

Lecz jakaś radość wstrząsnęła karłem, gdy spostrzegł, że głaz nie znajduje się na dawnym miejscu w górze. Osunął się conajmniej o stopę.

Rzucił się ku niemu Żuż, party niepohamowaną ciekawością.

U góry szeroka szczelina odsłaniała widok na spory kawał czerniałego pułapu, bocznymi zaś szparami wdzierał się blask słoneczny.

Karłowi raz jeszcze rzuciły się wyrazy lacińskiego napisu, który mu przykazywał odwalić bez trwogi głaz grobowy, więc jak gdyby nowego dostał bodźca, ze świeżem natężeniem sił uczeplił się raz jeszcze rdzawego żelazniwa.

Jednakże wysilek był już zbyt ciężki.

Kamień, który z muru wytracony opadł w głębiszy, pochwycony teraz za kłamek, poruszył się, jak gdyby na kółkach.

Zastanowiło to karlika, który zaczął poruszać nim na wszystkie strony, a wśród tego ciężkie drzwi w murze ukryte, potoczyły się w bok istotnie na małym wózek, odsłaniając przed oczyma Żuż widok na zakopconą komnatę, światłem jesiennego słońca napelnioną.

Po schodkach zszedł w głębię, rozglądając się ciekawie po owym tajemniczym grobowcu.

Jaskrawe promienie słoneczne, igrając z pyłem, utrudniały mu dokładne rozejrzenie się we wnętrzu. Podszedł w stronę okrągłego okna, przez które wdzierało się światło i odwróciwszy się doń plecyma, wodził po ścianach oczami, na nic nigdzie nie natrafiając, jak tylko na gładki mur, niegdyś wapnem zapewne na czysto wybielony, obecnie żółkły, gdzieś niegdyś niemal aż zczerniały.

Wszystkie kąty ginęły całkiem w pomroce szarych firanek, powstałych chyba w ciągu lat długich z grubej warstwy zakurzonych pajęczyn.

Poniżej ściany, znajdującej się naprzeciw tajnych drzwiczek z sali bibliotecznej, spostrzegł Żuż ogromne łańcuchy.

Podszedł bliżej. Na podłodze kamiennej, na potężnym pnin, niby grzyb, stał okrągły, ogromny, stół dębowy, na nim zaś spoczywała księga.

Długa chwila minęła, zanim Żuż doszedł, że ten jedyny w tej izbie sprzęt, niby grobowcuw, zamurowany, to nie co innego, jak wielka księga, ciężkiemi łańcuchami do muru przymocowana.

Obchodził wkoło, przypatrywał się uważnie, wracał do drzwi, stał pod oknem i znowu zbliżał się do stołu, nie mogąc wyjść z podziwienia, co tu odkrył.

Jakże wielkiej wagi, jak może bezcennej wartości musiała być księga, dla której utworzono podobne mieszkanie.

Cóż za tajemnice niesłychane musi ona zamykać, kiedy ją w taki sposób ukryto.

Ciekawość piekła, paliła karła, a nie posiadał się z zadowolenia, że jemu to przypadło w udziale, tak niezwykajne odkrycie.

— A może w tym domu żywi nie wiedzą o tajemniczym schowku; może do grobu zabrali wiadomość o tej zamurowanej księdze, poprzednicy obecnego pokolenia gospodarzy na Tęczynie?

Piasek, jakim wysypana była kamienna podłoga, przykrywała tak gruba warstwa kurzu, że pod nią zniknęły z latami ślady stóp człowieka, który tu był po raz ostatni.

Karzeł spostrzegł, że prócz odcisków jego nogi, nigdzie śladu nie ma człowieka. Nabral tedy pewności, że od bardzo dawna nikt tu nie zachodził.

Jakiś lek mimowolny zaczął go ogarniać z chwilą, gdy uprzytomniawszy to sobie, spostrzegł naraz gasnące za czarnymi chmurami słońce i cienie napelniające tajemniczą izbę.

Kiedy zaś chcąc zbliżyć się dokładniej księdze, poruszył mimowoli łańcuchy i naraz rozległ się w pustym pokoju niby dźwięk rozbitego dzwonu, jękliwy odgłos zardzewiałego żelastwa, karzeł nie wiedział, dlaczego pobiegł w stronę jedyne wyjścia i wskoczywszy na pierwszy stopień schodków, chwycił się oburącz muru.

Żalotne echo dzwoniących łańcuchów zamknęło, ale za oknem wiatr nagle tak przeraźliwie zawył i z ciemnych chmur jesiennych sypnął w brudne szyby tak chałasiwą ulewą, że kiedy Żuż miał schodzić ponownie w stronę dziwnej księgi, nagle niewytłumaczoną trwogą porwany, zawrócił ku bibliotece i uciekł aż pod pierwszy filar.

Przystanął, oparł się garbem i odetchnął, spojrzał w stronę wielkiego okna nad stołem z biblią. Ale na północnym niebie wzrok jego napotkał na dwa chmury jeszcze groźniejsze, a z dzwonieniem deszczu o szybki mleszało się tu przeraźliwe chichotanie wichru w kominie.

Karzeł nie pamiętał, czy mu kiedy w życiu było tak straszno; czuł tylko tyle, że zostać tu sam na sam z tą zagadkową pustką — to nad jego siły.

Zerwał się z pod słupa, sklepienie biblioteki dźwięczące, i jak tylko mógł najszybciej uciekał do ludzi.

— Co ci to, kochanku? — zagadnął go burgrabia, apotkawszy zdyszanego kalekę w krużganku, wiodącym ku mieszkalnym komnatom.

Zużu nic nie mógł odpowiedzieć, tylko sapiąc ciężko, oparł się o ścianę, naprzeciw której burgrabia starał się pośpiesznie przywrzeć małe okienko; właśnie wiatr je otworzył, a przez nie ulewa, nagle zamek zaskoczywszy, już mocno zamoczyła korytarz.

Nieopodal, gdzie się mur załamywał z pod ogromnego komina, buchał ogień świeżo rozpalony, z zimnego bowiem krużganka zbytnio wdierał się chłód do sąsiedniego pokoju, gdzie leżał chory wojewódzic.

Szczapy traskały głośno, a snopy iskier bily w górę ku czarnej otchłani pieca. Blask płomieni rozwidnił mroczny korytarz, ciskając na bladą twarz karzelka zdaleka obłok purpurowy.

Właśnie w takim świetle stał on drżący pod murem, gdy siwogłowy majordomus wieczystego zamczyska, zatrzasnąwszy nareszcie okienko, odwrócił się ku niemu.

— A możeś ty zasłabł, kochanku, zemgliło cię pewnikiem, biedaku, przy długim wertowaniu onych zatechłych, zakurzonych foliałów...

— Za prędko biegłem po schodach — wykrztusił Zużu i tak się nagle zawstydził swego kłamstwa, że gwałtem chciał zapewnić burgrabię, iż właściwie nie to chciał powiedzieć; już miał nawet się przyznać, iż przeląkł się wyjacego w kominie wichru, ale zanim mu jakie słowo przez gardło przelazło, staruszek jął go strofować, jako to sensu za grosz nie ma ślepieć nad owymi pismami w starej księżnicy...

— A czy to z wasci bakalarz, żebyś się miał na starość jeszcze uczyć...

Karzeł uspokoił się nieco i wysapał pod murem, ale namyślając się przez ten czas nad tem, czy należałoby z miejsca wszcząć rozmowę o zagadkowej księdze, zamurowanej w osobnej izbie, nie mógł się odważyć wspominać ani słowem o bibliotecę, zapytał więc co prędzej, kiedy się w tej chwili jego mistrz podziwiał.

— Nie najdziesz go przy chorym, bo nasza pani wypoczęła i znowu silniejsza, siadła z powrotem przy łóżku syna... Chłopiec cicho drzenie, odkąd mu doktor dał wypić miksturę... I tyś tam, kochanku, też jeszcze nie potrzebny... Twardowskiego szukaj w rycerskiej sali, zabrał go tam wojewoda, bo gości do nas sporo zjechało niespodzianie.

— E... to ja tam nie pójdę — bąknął karzeł, staczając w sobie walkę między ciekawością, która go pchała gwałtem na schody, z powrotem wiodące do biblioteki, a trwogą niepojętą, która nim trzęsała, jak zimnica, pociągając go w głąb korytarza, w ciepły krag ogniem buchającego komina.

— Przeciwnie kochanku, trzeba, żebyś tam poszedł; już pewno wojewoda nie raz pytał o ciebie doktora.

— Pan Twardowski wie, że siedzę w bibliotece...

— Byłby posyłał po ciebie, więc lepiej, że sam idziesz... Chodź, bratku, między ludźmi, rozveselisz się nieco, nie bądźże taki dziki — narzekał staruszek, pociągając kalekę, który po drodze, zatrzymawszy się przed piecem, zbliżył się do ognia i chwile grzejąc, rozcierał sobie skostniałe ręce.

XL. Na sali rycerskiej.

Niebawem w jednej z największych komnat zamku, salą rycerską zwanej, gdzie w tej chwili śród gości krążyły dzbany z miodem, burgrabia wprowadzając karlika, trafił na rozmowę o djabie, wszczętą z powodu Twardowskiego, który ymawiając się od picia, zapewniał nowych znajomych, że nie może przezwyciężyć lęku przed niepojętą mocą czarownika na dnie dzbanu ukrytego.

— Wszelki duch Pana Boga chwali... A te kuse djabie, w potworka wcielone — zawołał pan kasztelan sandomierski na widok wkraczającego na salę z widoczną niechęcią karzelka.

— I ja tak, moi moiście panowie — z nad głowy Zużu od drzwi odrzucił burgrabia — wnoszę nie dalej, jak cztery dni temu... A dziś bym szyję dał za to, jako że w onym niedałym, a wszczęto zbytnio rozrosłym człowieczku, którego jaśnie wielmożnym moiści panom prezentuję w charakterze pomocnika naszego sławnego doktora i mistrza, imię pana Twardowskiego, ani krzynki wdy niema z podejrzewanych mocy nieczystych.

A na to Twardowski wstając, rzekł głośno:

— Wszak słyszycie waszmościowie, iż nie wstydzę się przyznać, jak bardzo boję się sam djabła, czyż podobna tedy, bym go u siebie trzymał w służbie... A to mospanie sługa wierny i wypróbowany od lat wielu — dodał mistrz, podchodząc do kasztelana sandomierskiego, który sam będąc wyższym, niżli odrzwia wszystkie w zamku, zlał się teraz pociesznie we dwoje, by nachyliwszy głowę nad karzełkiem, przyjrzeć się bliżej dziwolągowi.

— Ale wasć chyba się sam djabła nie boisz — zwrócił się nagle inny z gości, otyły jak beczka, wojewoda bełzki, do karlika — i miodem nie gardzisz...

— A czyż mógłby mikstury według mojej recepty preparować, gdyby na dno dzbanu zaglądał — wtrącił się znów Twardowski — skoro pod moim dachem dzban nie odnajdzie z najjaśniejszym kagankiem — dodał jeszcze, wyręczając w odpowiedzi zadowolonego z tego Zużu.

— Wybacz mi waszmość, panie Twardowski — ozwał się stary burgrabia, wychyliwszy szklanicę miodu — ale jakkolwiek nie chciałbym sławnego mistrza krakowskiego, w obec tak dostojnych nowych twych znajomych zawstydząć, muszę nimie przed tymi oto naszej najjaśniejszej Rzeczpospolitej dygnitarzami zdradzić, jako się wasć niekiedy z prawdą mija.

Doktor zdumiał się na te słowa i domówiacego podchodząc powolnym krokiem, wzrok swój zatopił w jego bladych licach.

— Mój moiści dobrodzieju — ozwał się, tuż przed staruszką przystając — w wysokiej estymie mam wprowadzić włosy bielsze u waćpana, niż u najbielszego z podwieży Marjackiej gołębia, lecz w pierw urośnie ku niebu wyższa dotamtej wieżyca, niżli najtępszy w medycynie z doktorów krakowskich pozwoli pemiatać swym honorem szlacheckim ustom tak nawet szlachetnym, jak waszmość pana burgrabi tęczyńskiego.

Wrzawa uczyniła się na sali rycerskiej.

Dostojni goście zrywali się ze wszystkich kątów, spiesząc w tę stronę, w którą sam pan Tęczyński

zwrócił żywo swe kroki, mierzając między Twardowskiego a swego majordomusa.

Ale właśnie staruszek, podniósł dobrodusze oczy na swego pana, rozśmiał się serdecznie i w dłonie klasnąwszy ucieszenie, zawołał:

(C. d. n.)

Co słyhać w polityce?

W chwili kiedy to piszę, jeszcze nad dzielnicą wielkopolską wisi jak zmora strach nie ogólny wprawdzie, ale bądź co bądź poważny. Nie do polityka należy go omawiać, tyle tylko godzi się podkreślić, że niepowetowane przyniesie on straty przemysłowi naszemu: wśród przemysłowców wznieci niechęć do zakładania nowych warsztatów pracy, wśród robotników samych zostawi przygnębienie i żal, a wielu skłoni do emigracji.

Przesilenie w pracy jeszcze nie minęło, minęło za to przesilenie w rządzie. Już był ustąpił pan Ponikowski z całym gabinetem, już przebakiwano o rządzie parlamentaryjnym, to znów o p. Plucińskim z Gdańska, jako domniemanym „premjerze”, ale powołano p. Ponikowskiego z powrotem, i rządzi nam „miłościwie”, wszakże czy długo — chyba najwyżej do wyborów. Cóż zasłabo takiego w polityce, że się rząd musiał wycofać? oto zatarg z „Litwinami”, nie tymi, co na polską mowę „ne soprantu” odpowiadają, ale tymi „środkowymi”, czyli bardzo dobrymi Polakami, którzy chcą przyłączyć się do Polski bez żadnych warunków, nie! owszem z warunkiem, aby połączenie Wileńszczyzny z Polską odbyło się zgodnie z konstytucją, t. j. przez sejm, no, i bez wtrącania się Kowna, antanty i Belwederu. Ale rząd, który naprzód w gabinecie piastował martwe dziecię „federacji” zwane, czyli związek Wileńszczyzny z Kownem, a potem „autonomię” czyli samorząd i związek Wilna z Polską, w obawie gromów Lojd Dżorża nie chciał przystać na zwykłe połączenie się krajny wileńskiej z Polską i nie mogąc się pogodzić z delegacją sejmu wileńskiego co do tego, oddał teki swoje do rozporządzenia Naczelnikowi Państwa. Wrócił do stera, ale właściwie z całej tej nazbyt długa przeciągającej się sprawy dotąd nie wybrnął. Za sobą ma lewicę, marszałka Piłsudskiego, i antantę, która jeszcze raz oświadczyła się przeciwko wcieleniu Wileńszczyzny. Oczywiście, jeżeli się jej nie wcieli a wyodrębni i nada szeroki samorząd, to i wtedy Kowna się nie ulagodzi, chyba że z pod opylonych papierów ministerstwa spraw zagranicznych znówu wyłobędzio się projekt „federacji” Wilna z Kownem.

Litwa Kowieńska (i Rosja Bolszewicka!) strachia w ostatnim czasie na minie, kiedy ujrzała przejeżdżających zimo swych granic wysłańców z północy. To delegaci państw bałtyckich, Finlandji, Estonji i Lotwy zdążyli do Warszawy, a Polska wzięła ich w opiekę przed zabobrością Rosji i ma bronić ich interesów na dziedzi gromadzkim. Zjazd ten odbędzie się albo i nie. — Francuzi radząby wykroczyć na nie — nie wiem, co p. Skirmunt sądzi o Polsce. Moje zdanie jest takie, żeby tej „konferencji” w Genewie nie było. W każdym razie wzmożni ona „sowiecy” i Niemcy i — obawiam się — przyspieszy zawsze grożący nam oraz Francji czas odwetu. Dużo nadziei pokładają w Ameryce, że skoro ona odmawia wzięcia udziału w zjeździe, to cała odbudowa Europy, a raczej budowanie kołosa rosyjskiego „niemieckiem materjałem, a funtami angielskiemi w łeb weźmie”. Lojd Dżorż jednak się uparł, że albo będzie zjazd, albo on ustąpi. A niechby został — ale na pomniku! Wskutek jego kretactw Anglja raz po raz ponosi porażki. W Egipcie podpisuje ustępstwa. W Indiach wprawdzie chwytą za zawoje krzykaczy, ale jest ich taka chmara, że już dziś można powiedzieć, co niegdyś Zagłoba: „złapał Kozak Tatarzyną, a Tatarzyn za łeb trzy-

ma”; jeżeli Anglja straci Indie, przestanie być wielkiem mocarstwem, ona to czuje i kurczowo trzyma tam ster rządów, ale kosztuje pieniądze i życie. Wewnątrz Anglii bezrobocie się wzmacnia a jednocześnie wzmacnia się niezadowolnienie z polityki Lojd Dżorża.

Na wiosnę przepowiadają wielkie wypadki na „bliskim” Wschodzie. Jen. Wrangel bawił w resztkami swych żuchów w Serbji, kraja pogoski o nowej jego wyprawie na bolszewików, którzy się mają na baczności i ślą notę za notą do Polski z protestami przeciw popieraniu powstańców. Ale rząd nasz w odpowiedzi nie jest dłużny, odpięra papierowe napaści sowiektów i jak sądzę, jest o tyle rozumny i ostrożny, iż się w żadną awanturę nie wda. Pokonanie Rosji bolszewickiej udać się może nie przez wyprawę, powstania, a nawet nie przez głód: wycich musi nastąpić w samym środku Rosji, albo dopiero, gdyby w samym rządzie sowieckim rozłam nastąpił, spodziewać się możnaby zamyślenia. W polskim interesie nie leży powstanie Rosji nowej a silnej, ale w dalszym ciągu, i na długo osłabianie jej przez same rządy bolszewików.

Na zakończenie tej przykrótkiej polityki parę słów o Górnym Śląsku. Niemcy, jak widać, chcieliby te „perle” Prus obrabować i oddać w stanie jak najlichszym a w terminie jak najdalszym. To też gadanie w Genewie tak długo się przeciąga, że tuszą sobie ci i owi pogodzenie aż przy „jakim wielkocnem”, a potem jeszcze zatwierdzenie umowy przez oba rządy i przez sejm w Warszawie a parlament w Berlinie, słowem, nie wiem, czy tegoroczne święto narodowe obchodzić będziemy niepodzieleni koroną i strażą francusko - włosko - angielską.

Jest marzec.

Ostatni to miesiąc bieżącego kwartału. A więc czas odnowić przedpłatę na przyszły kwartał.

Wszystkich abonentów i przyjaciół naszego pisma prosimy gorąco, aby już w bieżącym miesiącu marca złożyli przedpłatę na nowy kwartał. W pierwszym kwartale tego roku liczba abonentów bardzo znacznie wzrosła (o osm tysięcy), a ponieważ zamówienia częściowo przyszły za późno, więc zdarzyło się, że wielu nowych abonentów nie mogło otrzymać pierwszych numerów pisma, bo były zupełnie wyczerpane. Spodziewamy się, że „Przewodnik” i w przyszłym kwartale, rozpowszechniony już w całej Polsce, pozyska szeregi nowych czytelników. Kto więc się spóźni z nadesłaniem przedpłaty, może narazić się na to, że pierwszych numerów nie otrzyma, bo w dzisiejszych ciężkich warunkach „Przewodników” na zapas, zwłaszcza gdy chodzi o tysiące egzemplarzy, drukować nie możemy. O jeszcze jedno Was, Szanowni Czytelnicy, prosimy: Oto bądźcie prawdziwymi przyjaciółmi „Przewodnika”. Nieście go w coraz szersze koła czytelników. Nakłońcie tych, którzy go jeszcze nie znają, do wprowadzenia go do swojego domu.

Im większa będzie rzesza abonentów, tem łatwiej nam będzie rozszerzyć rozmiary pisma, tak jak tego pragniemy, i postawić je na tej wyżynie, na jakiej stać powinno.

Przedpłata kwartałna „Przewodnika” zadziwiająco niska.

W Poznaniu, w Administracji i ajencjach	100 mk.
Zamówiony na pocztę	140 mk.
Wysyłany z Administracji pod opaską pojedynczy egzemplarz	160 mk.
ponad 10 egzemplarzy za każdy egzemplarz	150 mk.